



M A R G O T A  
K O T T

*Ścigając wiatr*

Pani Zofia przez całe swoje życie rozmawia z duchami. Czując, że jej dar stanowi ważne przesłanie dla innych, decyduje się opowiedzieć o swoich doświadczeniach ulubionej pisarce, aby ta wydała je w postaci książki. Kobiety odbywają szereg spotkań w przytulnej kawiarni o nazwie Literacka. Ich rozmowy składają się na pełną wzruszeń i zaskakujących wątków powieść, która zatrzymuje czytelnika skłaniając do refleksji nad najważniejszymi pytaniami o sens ludzkiego życia i śmierci.

*Przepelnia mnie ogromne wzruszenie. „Ścigając wiatr” to dla mnie jedna z najlepszych książek jakie dotąd czytałam. Paczka chusteczek pod ręką obowiązkowa!*

*Ezo Oneir*



### MARGOTA KOTT - autorka powieści

Autorka powieści kryminalnych: *Morderstwo w Pradze* i *Kolor miłości i krwi*, powieści psychologicznej *Opiekunka* oraz poradnika *Kompendium wiedzy dla autorów kryminalów*. Pisze także dla dzieci. Jest laureatką wielu konkursów literackich. Recenzentka powieści kryminalnych.

Absolwentka studiów podyplomowych na kierunkach: kryminologia i kryminalistyka, pomoc psychologiczna oraz socjoterapia. Magister biologii. Stypendystka Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego. Członkini Towarzystwa Naukowego w Toruniu. Prowadzi własną firmę w branży nieruchomości.



### JOANNA T. WRZESIŃSKA - batiki i wiersze

Fotografuje i maluje. Jej ulubione techniki to akwarela i batik. Pisze wiersze i opowiadania. Ceni krótkie formy literackie. Aktywnie działa w Toruńskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku. Wrażliwa dusza z zacięciem społecznikowskim. Popularyzatorka sztuki. 20 lat temu utworzyła Sekcję Poetycką przy TUTW, która funkcjonuje do dziś. W 2022 roku otrzymała, za liczne zasługi, tytuł Honorowego Członka TUTW. Laureatka prestiżowych konkursów poetyckich. Ma na koncie wiele nagród i wyróżnień. Publikowała w zbiorach poezji i opowiadań. Wydała autorskie tomiki wierszy: „Początek” oraz „Przez chwilę”.



GRUPA WYDAWNICZA  
EZOONEIR



INSOMNIA

Ścigając  
wiatr





M A R G O T A  
K O T T

# Ścigając wiatr

Tytuł: Ścigając wiatr

Copyright © Margota Kott 2022

All rights reserved

Wydanie II © Wydawnictwo Ezooneir 2023

Projekt graficzny okładki i skład: Ezo Oneir

Grafika na okładce: Joanna T. Wrzesińska

Prawa do obrazów/batików: Joanna T. Wrzesińska

ISBN E-BOOK 978-83-67459-17-4

Wydawca:

Grupa wydawnicza EZOONEIR.COM

Książkę wydrukowano na papierze Ecco Book Cream 70g.

## Podziękowania

Pragnąc uatrakcyjnić tekst tej książki, wykorzystałam fragmenty wierszy pióra mojej Przyjaciółki, Joanny T. Wrześcińskiej – poetki i malarki. Niektóre z tekstów przez nią napisanych, choć pierwotnie w związku z innymi tematami, idealnie wpasowały się w motyw przewodni. Świadczy to o tym, iż sztuka jest rzeczą niezwykle uniwersalną. Niektóre zaś teksty, ten o Heni Wojdyło, czy o transporcie zwierząt do rzeźni, Joanna napisała konkretnie „pod” powieść. Jej batik, obrazy malowane specjalnymi farbami na jedwabiu, skradły moje serce. Postanowiłam wykorzystać zdjęcia dzieł mojej utalentowanej Przyjaciółki w książce. Jeden z batików, ozdabiający okładkę, przemawia do przyszłego Czytelnika bardziej niż tysiąc słów.

Joasiu! Dziękuję za inspirację  
i możliwość udostępnienia Twojej sztuki.





*„Wiatr<sup>1</sup> wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz,  
lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąży.”*

*Biblia Tysiąclecia, Ewangelia św. Jana, J3,8*

---

<sup>1</sup> W języku greckim wyraz *pneuma* oznacza wiatr i ducha, także Ducha Świętego.



## Prolog

– Czy napisze pani tę książkę w moim imieniu?

Pisarka miała już na koncie kilka powieści, ale o zupełnie innym profilu. Nie wiedziała, czy tamtej spodoba się jej styl pisania i czy w ogóle znajdą wspólny język. Były tak różne. Do tego dzieliła je spora różnica wieku, która wynosiła ponad trzydzieści lat.

– Zastanowię się nad tym, pani Zofio. – Pisarka wolała się asekurować na wypadek gdyby tamta zrezygnowała albo znalazła kogoś innego.

Temat sam w sobie był ciekawy. Pani Zofia posiadała zdolności parapsychiczne. Posługiwała się wahadelkiem. Podobno rozmawiała też z duchami. I choć te tematy Pisarce nie były zbyt bliskie (czytywała kiedyś z ojcem nałogowo von Dänikena, ale to właściwie wszystko), brała pod uwagę możliwość współpracy.

– Czyli mam być kimś w rodzaju ghostwriterki? – upewniła się czy dobrze zrozumiała przekaz. Pani Zofia była zdezorientowana. Nigdy przedtem nie spotkała się z tym określeniem.

– To ktoś taki – tłumaczyła cierpliwie Pisarka – kto wysłuchuje zamawiającego, albo czasem korzysta z jego luźnych notatek i pomysłów, a potem spisuje wszystko przekształcając pomysł w prawdziwą literaturę.

- Aha. – Pani Zofia pokiwała głową. – Rozumiem.
- Pozostaje jeszcze ustalić pod jakim nazwiskiem książka zostanie wydana. Pisarz na zamówienie, czyli ghostwriter, praktycznie nie istnieje w przestrzeni literackiej. Jest duchem, pisarzem widmo. Stąd nazwa. On wywiązuje się jedynie z umowy, dostaje określoną sumę pieniędzy za napisanie książki, a zamawiający otrzymuje gotowy produkt. Potem się rozstają, wykonawszy wszystkie warunki transakcji. Ghostwriter całkowicie się wycofuje, nie roszcząc sobie żadnych praw do rękopisu, a autor pomysłu szuka wydawnictwa lub wydaje książkę własnym sumptem. Cały splendor z jej napisania przypada jemu, zamawiającemu.
- Pani Zofia zmarszczyła czoło. Przez chwilę myślała intensywnie, przetwarzając wszystkie uzyskane informacje.
- To znaczy, że na okładce miałyby widnieć MOJE nazwisko? – W jej głosie słychać było przerażenie.
- Nie, może pani wymyślić dla siebie jakiś pseudonim.
- Pani Zofia znów się zamyśliła. Przez moment trwała w zawieszeniu. Wreszcie przerwała milczenie.
- Nie. Ja tak nie chcę – podsumowała zdecydowanie. – Czy jest możliwość, żeby to pani napisała i podpisała dzieło własnym nazwiskiem?
- Pseudonimem – uśmiechnęła się Pisarka, która w prywatnym życiu była zupełnie kimś innym.
- Może być i pseudonimem – westchnęła z ulgą starsza kobieta. – Grunt, żeby w tych opowieściach o duchach nikt mnie nie rozpoznał. Rozumie pani? Nie chcę, żeby wzięli mnie za wariatkę.

Pisarka rozumiała doskonale. Wciąż miała w pamięci własne rozterki. Lubiła pisać wprost, nie bała się drażliwych tematów. Wątki erotyczne także prowadziła śmiało i bezpruderyjnie. Nie wszystkim się to podobało. Napisać można wszystko. Tylko potem trzeba zmierzyć się z opinią ludzką i krytyką. Podczas spotkań z czytelnikami spoglądać im w oczy, tłumaczyć się, wstydzić. Dużo czasu zajęło jej odzielenie własnego pisarstwa od życia prywatnego.

– Pani Zofio – podsumowała Pisarka. – Obiecuję, że nikt nawet się nie domyśli, że chodzi o panią. Wiem, nasze miasto nie jest duże. Zawsze można wpaść na osobę, która wie o nas rzeczy dziwne czy niepoehlebne i nie zawaha się podzielić swoją wiedzą z innymi. Mimo wszystko wierzę, że uda się przejść przez cały ten proces bez uszczerbku.

Pani Zofia upiła łyk słabej herbatki. Jej serce, które wołało rozpaczliwie o wszczepienie rozrusznika, pracowało niemiarowo i kobieta bała się, że może nie zdążyć z opowiadaniem historii. A tak bardzo pragnęła podzielić się swoimi zdolnościami, wiedzą, wizjami. Darem. Bała się jedynie konfrontacji z prawdziwym światem. Światem, który z roku na rok stawał się miejscem coraz bardziej cynicznym, obcym, wyrachowanym, wyzutym z uczuć wyższych, pozbawionym przestrzeni dla niewypowiedzianego, eterycznego i ezoterycznego, wszystkiego, co wiąże się z tak zwaną duchowością.

– Czyli tak. – Pisarka zaczęła od razu planować zakres przyszłych obowiązków. – Pani opowiada o swoich przeżyciach, ja to spisuję, wymyślam stosowną fabułę, okraszamy to jeszcze jakimiś rysunkami, może fotografiami i puszc-

czamy w świat. Wydajemy pod moim nazwiskiem, znaczy pseudonimem, pod którym napisałam poprzednie powieści. Tym razem literacki światek nie będzie mieć do czynienia z ghostwiterem, ale z prawdziwym duchem, który wprawi wszystko w ruch. Z panią. Duch pozostanie w cieniu, a na jaw wyjdą jedynie jego doznania i doświadczenia. Pisarka zaś postara się to wszystko dokładnie spisać. Z całą starannością i wrażliwością, na jaką tyko będzie ją stać.

Pani Zofia kiwnęła głową na zgodę. Pisarka uniosła rękę i na znak przypieczętowania umowy lekko musnęła pomarszczoną dłoń swojej rozmówczyni. Zapatrzyła się przy tym na srebrny pierścień z ogromnym, miodowym bursztynem. Na jedną małą chwilę, w momencie zetknięcia się skóry obu dłoni, zatrzymał się świat. A potem poczuła, jakby poraził ją prąd.

# 1

## Niedomknięte drzwi

*„Na mgnienie powiek zmienił się świat.  
Krople wzmocniły barwy.”*

*Joanna T. Wrzeńska, „Początek”, wiersz XXXI*

Odkąd sięgała pamięcią zawsze była inna. Różniła się od pozostałych dzieci. Nie zewnętrznie. Tak jak większość dziewczynek w jej wieku nosiła zaplecione warkocze i wełniane sukienki w szarych kolorach. Grała w klasy, skakała przez skakankę, bawiła się w chowanego. Miała kilka koleżanek w swoim wieku. Uczyła się przeciętnie. Mieszkała w małym miasteczku. Jednak była inna.

Miała dar.

Zanim jednak drzwi otworzyły się i trzasnęły z hukiem, odmieniając na zawsze jej los, dała się poznać jako niezwykle ruchliwe dziecko. Wszędzie jej było pełno. Lubiła psocić, wspinać się po drzewach, a nawet bić, gdy coś szło nie po jej myśli. Kolega z piaskownicy do dziś nosi na czole bliznę, pamiętkę tych dni.

– Naznaczyłaś mnie, jestem twój i nic na to nie poradzę – śmiał się pan Franciszek przy każdej okazji, kiedy przyjeżdżał na wakacje do starego kraju.

Zawsze z wielkim przejęciem powtarzał tę zabawną historię, a potem oboje śmiali się do rozpuku na samo jej wspomnienie. Pomimo upływu lat pozostawało żywe w ich pamięci. Chociaż pan Franciszek mieszkał już od lat samotnie w dalekiej Australii, tak naprawdę nigdy nie zapomniał o swej pierwszej miłości, Zosi. Tej, która z zazdrości o koleżankę pobiła Franka metalową łopatką. Dziewusze, która śmiała się z nim bawić, także dostało się nielicho. Dziś żadne z nich nawet nie pamiętało jej imienia.

\*\*\*

Ciocie Wisię mała Zosia kochała bardziej niż własną matkę. Kobieta nie miała męża ani dzieci i była niezwykle piękna. Tak przynajmniej sądziła dziewczynka.

Wielkie niebieskie oczy zawsze były dla niej pełne uwagi i miłości. Ciocia Wisia potrafiła po prostu znaleźć dla Zosi czas, wymyślając dla swojej siostrzeniczki wciąż nowe rozrywki.

– Chciałabyś nauczyć się pływać? – zapytała, a dziecko z radości zaczęło podskakiwać do góry jak piłeczka.

Chwilę później jednak Zosia zmitygowała się i posmutniała:

– Cioteczko, ale w czym ja się będę kąpała? Nie mam przecież żadnego stroju.



– To nie kłopot – rzuciła wesoło ciocia Wisia. – Kupimy na miejscu, w kurorcie.

Zosia nie wiedziała co znaczy słowo kurort, ale wstydziła się zapytać.

Pojechały pociągiem. Dziewczynka uwielbiała wyprawy z cicią nawet te małe, krótkie. Takie, jak na przykład spacery wzdłuż pięknej alei lipowej w ich małym, rodzinnym miasteczku. Dziś jednak wycieczka miała być dłuższa i dużo bardziej ekscytująca. Ciocia obiecała jej spacer po parku, lody i basen. Czyż mogła marzyć o czymś lepszym tego sierpniowego, upalnego dnia?

Zosieńka czuła się jak w bajce. Ogromne, zielone drzewa rzucały ażurowe cienie na ławeczki na których siadywali zmęczeni kuracjusze. W Pijalni Wód starsi ludzie popijali wody lecznicze z ceramicznych naczynek z dzióbkiem. Dla małej dziewczynki był to magiczny, nieznaną świat. Kolorowe, kwiatowe kobierce przyciągały mnóstwo motyli i pszczołek. Zosia nie mogła się napatrzeć. Po głównym deptaku spacerowali kuracjusze i turyści. Czas upływał wolno, rozkosznie. Zosia miała wrażenie, że jest ozdobną łyżeczką zanurzoną w złocistym miodzie. Było ciepło i miło. Idealnie. Podziwiała razem kwitnące krzewy, rzeźbione, drewniane zwieńczenia domów, ogrodzenia willi przez które zwieszały się zielone, ulistnione gałązki, obsypane nieznanymi kwiatami.

Zatrzymały się na dłużej przy budce z lemoniadą. Tak smacznej dziewczynka jeszcze w życiu nie piła. Cytrynowy smak musował jeszcze długo w nosie i na języku, pobudzając Zosieńkę do śmiechu. Przy cici Wisi zawsze było jej

wesoło. Pragnęła zostać z nią tu na zawsze. Usiadły na małej ławeczce pod rozłożystym platanem. Ciocia opowiadała o historii tego miejsca, właściwościach leczniczej wody, sile czystego powietrza. Mówiła także o leczeniu różnych chorób, zakładach wodolecznictwa, balneoterapii i leczeniu błotem. Tego ostatniego Zosia nie mogła w ogóle zrozumieć.

– Jak to? – pytała cioteczkę. – Brudnym błotem nacierają ciało? I to na goło?

Wydało się jej to wstrętne, obrzydliwe.

Ci dorośli to czasem jednak są dziwni – stwierdziła Zosia w duchu.

– Ludzie dla zdrowia nie takie rzeczy potrafią zrobić. – Cioteczka jak gdyby czytała jej w myślach. – Trzeba się cieszyć i Bogu dziękować, że się jest młodym i zdrowym.

Zosia już nie słuchała, zaciekawiona kolejną atrakcją. Oto bowiem mężczyzna w szarej, popelinowej koszuli zachęcał przechodniów do zrobienia sobie pamiątkowego zdjęcia na tle landszaftu z napisem „Pozdrowienia z ...”. Zosia stała przez chwilę z rozdziawioną buzią i patrzyła na kolejne osoby, które podchodzą z tyłu i wkładają głowy w wycięte w desce otwory. Z zewnątrz wyglądało to strasznie śmiesznie, lecz Zosia dałaby wszystko, żeby ten miły pan i ją sfotografował razem z ciocią. Nie musiała wcale o to prosić. Ciocia Wisia już wcześniej miała w planie ten punkt programu. Zosia odruchowo poprawiła włosy, upięte tego dnia w dwie warkoczowe fasolki nad uszami, i uśmiechnęła się najpiękniej jak umiała. To nic, że widać było puste miejsce po mleczaku, który wypadł jej tydzień temu. Na co dzień

nie miewała takich rozrywek, teraz więc rozpierała ją radość. Ciocia zapłaciła fotografowi, podając adres na który ma wysłać zdjęcie. Jednego czego Zosia żałowała to to, że nie może od razu zobaczyć efektów. Za chwilę jednak zajęło ją coś innego, ponieważ ciocia Wisia oznajmiła radośnie:

– A teraz, moja mała, na basen!

– Hurra! – zakrzyknęła dziewczynka, wykonując taneczne pas wokół latarni.

A, że droga jej się dłużyła, wyciągnęła skakankę i skandując ulubioną wyliczankę, zaczęła skakać.

*Aniołek, fiołek, róża, bez.*

*Konwalia, balia, wściekły pies.*

Jej nadmierna ruchliwość, o dziwo, nie drażniła ciotki. Mama zawsze wyrzekała, że wszędzie jej pełno i ciągle się gdzieś kręci pod nogami. Ciocia Wisia natomiast potrafiła jedynie rzucić grzecznie:

– Ta dziewczyna to żywe srebro!

I tyle. Nigdy na Zosię nie nakrzyczała.

*Aniołek, fiołek...*

Mała nóżka zaplątała się w skakankę i gdyby nie pomocna dłoń cioteczki dziewczynka leżałaby jak długa na trotuarze. Ciocia Wisia przezornie wzięła Zosię za rękę i dalej, już bez niebezpiecznych przypadków, doszły do bramy prowadzącej na basen. Jakież było zdziwienie cioci Wisi i jaka rozpacz Zosieńki! Akurat tego dnia basen był zamknięty.

Dziewczynka zaczęła płakać i tupać ze złości małymi nóżkami. Ciocia natomiast rozglądała się uważnie wyteżając wzrok.

Przecież takiego ważnego obiektu musi ktoś pilnować – pomyślała nie bez racji.

I rzeczywiście. Na szczycie schodów prowadzących do basenowych przebieralni pojawił się młody, przystojny mężczyzna. Z początku zakrzyknął w ich stronę jedynie:

– Dzisiaj zamknięte! Przyjdźcie jutro.

Jednak, gdy podszedł bliżej i spojrzał na ciotkę Wisię oczy mu się zaśmiały. A może była to raczej kwestia banknotu, który kobieta wsunęła pomiędzy metalowe pręśła ogrodzenia, kto wie? W każdym razie brama została otwarta, a ciekawe turystki wpuszczone do środka.

– Chciałabym siostrzenicy tylko pokazać basen. Przyjechaliśmy specjalnie pociągiem, z daleka – tłumaczyła panu pilnującemu terenu.

– Zasadniczo nie powinienem... – zająknął się, jakby spodziewał się, że kobieta dorzuci jeszcze jeden banknocik.

Ciocia Wisia jednak ani o tym myślała. Spojrzała na niego wnikliwie swoimi błękitnymi oczyma, aż ten zmiękł niczym tabliczka czekolady pozostawiona nieopatrznie na słońcu.

– Ja chcę tylko pokazać ten wspaniały basen małej dziewczynce. – Tu wskazała na Zosię, a ta wykonała najpiękniejszy dziewczynski dyg na jaki tylko było ją stać.

Na twarzy mężczyzny zagościł uśmiech.

– Zasadniczo to mogę... – Podrapał się po szyi, zmarszczył czoło, po czym rażno ruszył do przodu.

Kobieta z dzieckiem błyskawicznie podążyły za nim, żeby tylko nie zdążył się rozmyślić.

Kiedy wspięły się na sam szczyt schodów ich oczom ukazał się oszałamiający widok. Pośród zieleni starych lip i klonów jarzyły się wszystkimi możliwymi kolorami wykafelkowane baseny. Trzy. Jeden dla maluchów płytki, ze schodkami i poręczami. Drugi, największy, dla tych, którzy przeciętnie pływają, a tych jest zawsze najwięcej. No i ten najbardziej przyciągający wzrok, z niesamowicie wysoką budowlą, o niezliczonej ilości schodów prowadzących do góry.

Zosia chciała pobiec, od razu, tu i teraz, jednak czuła respekt przed tym mężczyzną. Czekala więc pokornie na pozwolenie cioci Wisi i tylko chłonęła te wszystkie cuda rozszerzonymi z zachwytu oczami. Nigdy dotąd w swoim niespełna sześcioletnim życiu nie widziała prawdziwego basenu. Czasem tylko zażywała latem kąpeli w metalowej balii, w ogrodzie. Ale balia to nie basen, a ten tutaj to był prawdziwy cud.

– Co to za wieża? – zapytała dziewczynka.

Zwróciła się jednak do cioci, bo do obcego pana nie wypadało. Ten jednak od razu odpowiedział, a w jego głosie zabrzmiała duma:

– To jest skocznia. Stąd skaczą na główkę do wody najlepsi pływacy. Sportowcy. Zasadniczo tacy, co nie boją się ryzyka.

Dziewczynka zadarła główkę do góry. Basen dla maluchów był najbardziej kolorowy. Zosia zauważyła rybki i muszelmuszelki, które w promieniach sierpniowego słońca pulsowały jak

żywe. Ją jednak najbardziej zafascynował ten drugi basen. Tym bardziej, że po jego dnie pełzały czerwonawe raki i jeszcze jakieś większe zwierzęta wodne ze szczypcami, których nazwy nie знаła. Wielkie ryby, o barwnych pasiastych bokach, zapraszająco falowały weloniastymi płetwami. Otwarte muszle, z błyszczącymi wewnątrz perłami, wabiły dziewczynkę bezpowrotnie. Obejrzała się za siebie. Ciocia Wisia stała niedaleko przebieralni i natrysków, rozmawiając z mężczyzną pilnującym basenu. Ich głowy znajdowały się coraz bliżej siebie, co Zosia zdążyła zauważyć przez tak krótki moment. Byli całkowicie zajęci sobą. Mama zawsze kładła jej do głowy, by nie przeszkadzać dorosłym.

– Dzieci powinny być jak ryby – mawiała przy każdej możliwej okazji. – Mają milczeć, kiedy starsi ze sobą rozmawiają.

Te słowa huczały jej w głowie, gdy przyglądała się rybkom i żabkom, odwzorowanym tak cudnie na lśniących kafelkach. Zapragnęła zobaczyć je z bliska. Podeszła ostrożnie do krawędzi słupka. Ukucnęła. Niestety, nadal nie widziała szczegółów. Pochyliła więc główkę do przodu, aż zatrząsły się trwożnie dwa warkocze spięte w fasonki. Straciła równowagę. I tak, w ubraniu, poszybowała na samo dno. Woda nie rozprysła się na boki, nie zniwelowała uderzenia małego ciała. Basen był pusty. Tego dnia bowiem zaplanowane było chlorowanie i czyszczenie zbiorników. Wodę spuszczoneo.

Zosia nie usłyszała już przeraźliwego krzyku cioteczki Wisy, ani przekleństw, pomieszanych z wołaniem do Boga,

pana w czapce ratownika. Biegli ile sił w nogach, lecz nie mogli już cofnąć, ani na jotę, upływu czasu. Dziewczynka wpadła do pustego basenu. Skoczyła na główkę. Zamiast syren zwabiły ją morskie rybki i muszelki. Namalowane tak realistycznie i kunsztownie, jakby pluskały się w najprawdziwszej wodzie. I to zmyliło dziewczynkę.

Straciła przytomność, zalewając się krwią. Zemdląła. Nie odzyskała przytomności tego dnia, ani nawet następnego. Potem powiedziano rodzinie, że mała otarła się o śmierć. Wpadła w omdlenie, potem w śpiączkę, później nastąpiła śmierć kliniczna. Właściwie była już na krawędzi. Po Tamtej Stronie. Niewiele brakowało, żeby została tam na wieki. Nie mogli wiedzieć, że w snach zacznie po tym widywać zmarłych i rozmawiać z nimi podobnie, jak z żywymi. Nawet z takimi, których za życia nie znała. Od tego właśnie momentu drzwi pomiędzy światem żywych i umarłych pozostały dla niej już na zawsze niedomknięte.

Po tym wypadku ciocia Wisia już nigdy nie zabrała Zosi na żaden spacer. Nawet taki najkrótszy, wzdłuż alei lipowej w ich małym, rodzinnym miasteczku.

## 2

### **Matczyna miłość**

*Najbardziej charakterystyczną cechą dzieciństwa nie jest łatwość, z jaką marzenia mieszają się z jawą, lecz całkowite wyobcowanie. Nie istnieją słowa, które mogłyby opisać mroczne lęki i przeżycia dziecka”*

*Stephen King, „Miasteczko Salem”*

– Tak naprawdę to, kim staniemy się w dorosłym życiu rozpoczyna się już w dzieciństwie – stwierdziła pani Zofia, a Pisarka przyznała jej rację.

– Dokładnie! – powiedziała. – Nauka to potwierdza. Psychologia, pedagogika, Korczak i Freudyści. To, co kształtuje człowieka na zawsze dzieje się wówczas, gdy jesteśmy mali, młodzi. A potem, w dalszym życiu, wciąż do tego wracamy, próbując uleczyć traumy z dzieciństwa. Bo przecież każdy je ma...

Pani Zofia zamyśliła się. Przymknęła oczy na dłuższą chwilę, jakby kontaktowała się z dzieckiem w sobie. Z tą częścią swego ja, która wciąż była w niej obecna, dymiąc niczym niewygasły wulkan.



– Gdy byłam bardzo mała – rozpoczęła swoją opowieść – nad moim białym łóżeczkiem paliła się w nocy lampka. Ogromnie bałam się ciemności. Budziłam się z przerażliwym krzykiem. Wystraszona, mokra. Ciągle ktoś brał mnie na ręce, przytulał, nosił. Jakaś stara kobieta powiedziała, że małe dziecko we śnie widzi swoją całą przyszłość. Chyba to prawda. Pamiętam jak się chowałam pod stołem, płacząc. Nie wiedziałam dokładnie jaka była tego przyczyna, jednak nie mogłam powstrzymać się od łez. Widywałam w naszym domu wiele osób, cieni, przewijało się ich mnóstwo, ale oprócz mnie nikt ich nie widział. To mnie dziwiło, a jednocześnie martwiło. Co więcej, rozmawiałam z tymi osobami, i wówczas nie czułam się samotna gdy moi rodzice musieli wyjść z domu.

– Czyli już wtedy widywała pani duchy? – dopytywała Pisarka z ciekawością.

– Tak. Ale dopiero po wypadku. Po tym, jak wpadłam do basenu bez wody. Przedtem jednak słyszałam postukiwania, szmery, głosy, widziałam cienie lecz nie umiałam tego sobie wytłumaczyć. Nawiedzał mnie jakiś nieokreślony niepokój, którego źródła nie byłam w stanie zdefiniować. Zdałam sobie z tego sprawę dużo później, gdy osoby przychodzące stamtąd zaczęły ze mną rozmawiać i ukazywać się w sposób dużo bardziej widoczny, prawie namacalny. Pisarka zapisywała wszystko w notesie.

– W dzieciństwie przejawiałam ogromny głód, apetyt na miłość matczyną – kontynuowała starsza pani. – Wprost wymuszałam, żeby mi mówiła, że mnie kocha. Mamie brakowało wciąż dla mnie czasu, a ja nie odstępowałam jej ani

na krok. Złościła się na mnie, kazała zająć się sobą, popatrzyć na kurki, kwiatki, ptaszki. A ja wciąż byłam uczepiona maminej spódnicy. Jak nieco podrosłam próbowałam zaskarbić jej uczucie w inny sposób. Na przykład chodziłam zbierać zioła, ponieważ w okolicy było mnóstwo łąk i pól. Gdy już udało mi się zebrać większą ilość, sprzedawałam je w pobliskim punkcie skupu, a zarobione w ten sposób pieniądze z dumą oddawałam mamie. Czasem robiłam jej drobne prezenty. Pamiętam nawet wodę kwiatową w szklanym flakoniku. Często zbierałam zioła z grupą koleżanek, lecz one zupełnie na coś innego przeznaczały swoje zarobki. Kupowały lemoniadę, lody, cukierki, a wszystko z myślą jedynie o sobie. Nigdy jednak, pomimo licznych wysiłków, nie zauważyłam w jej oczach aprobaty czy wdzięczności, a ja przecież wówczas zrobiłabym dla niej wszystko, by tylko zasłużyć na jej miłość. Kiedy coś zbroiłam widywałam w oczach mamy groźne błyski, a później w domu odbywała się rozmowa. Zanim jednak to następowało wyobrażałam sobie najgorsze rzeczy. Do dziś pamiętam jej krzyki. Czasem nawet szarpnęła mnie w złości za rękę. W końcu, podrosłam na tyle, że przestałam się tym przejmować i pomyślałam:

– Nie kochasz mnie, mamusiu, no to trudno. Nie, to nie! Powinnam się cieszyć, że moi rodzice żyją, ponieważ w mojej okolicy było dużo sierot, a niektóre dzieci zostały nawet umieszczone w domu dziecka. Ja miałam rodziców. Ojca, który czasami mnie przytulił, a czasem złażał, kiedy była taka potrzeba. Nigdy jednak nie chował długo urazy. To był dobry człowiek, ale choleryk. Potem przepraszał,

brał mnie na kolana, jednakże nieco goryczy zawsze po tym zostawało w moim wrażliwym serduszk.

Pisarka nie miała teraz czasu, aby myśleć o swoim domu rodzinnym. Obrazy i uczucia, które się w niej pojawiały równoległe z opowieścią pani Zofii gasiła w zarodku.

W końcu nie o jej historię rodzinną chodziło, ale o Medium. Jej dzieciństwo, młodość i rozwój daru. Wszystko, co mówiła tamta kobieta zdawało się ważne. Wydarzenia z życia pani Zofii wpływały, w mniejszym lub większym stopniu, na rozwój Daru.

– Gdy wyszłam za mąż i urodziłam córeczkę, bezwiednie powtarzałam schematy wychowawcze wyniesione z domu.

– Pani Zofia próbowała zachować spokój, jednak zdradziło ją nerwowe skubanie skórek przy wypielegnowanych paznokciach. Pisarka pisała szybko, starając się nie uronić ani słowa. Przemyslenia zostawiła na później.

– Oschłość w stosunku do małego dziecka uważałam za normalne. Inaczej nie umiałam – mówiła pani Zofia. – Rzadko przytulałam dziewczynkę, choć bardzo garnęła się do mnie. Nadrabiałam to spełniając jej zachcianki. Kupowałam wszystko na co było mnie stać. Wydawało mi się wówczas, że to wystarczy i, że uszczęśliwiam własne dziecko. Jednak jej potrzeby były zgoła inne. Podobne jak moje w tym wieku, lecz ja wówczas tego nie zauważałam. Córeczka pragnęła jedynie mojej bezwarunkowej miłości i bliskości.

Pewnego razu byłam zajęta gotowaniem posiłku. Stałam przy kuchence gazowej. Córka przybiegła do mnie mówiąc, że coś ją boli w buzi. Powiedziałam, żeby odeszła, że póź-

niej zobaczę co to jest. Naraz stanęła bardzo blisko mnie i włączonej kuchenki. Jej śliczne, puszyste blond włoski momentalnie zajęły się ogniem. Zdrętwiałam na ułamek sekundy. Za chwilę jednak otrzeźwiałam, chwyciłam szybko mokrą ścierkę ze zlewu i zarzuciłam jej na głowę. Pomimo mojej błyskawicznej reakcji większa część włosów uległa zniszczeniu. Żeby mój mąż się nie domyślił niczego obciąłam córce włoski na krótko. Wprawdzie małżonek dociekał prawdy, jednak nigdy nie przyznałam mu się jaka była przyczyna. W opowieści córeczki o pożarze nie uwierzył, uznając je za urojenia czy efekt wybujałej, dziecięcej wyobraźni. Tego dnia nie dokończyłam jednak obiadu, a córki nie wypuszczałam już z rąk, tak bardzo się wystraszyłam. Przytulałam ją kiedy tylko tego potrzebowała. I nawet teraz chcę ją brać na kolana, z czego ona się śmieje. Mówi wciąż: „Przecież nie jestem już małą dziewczynką, tylko dorosłą kobietą!” Mam okazję często okazywać czułość, ponieważ mieszkamy w jednym domu, z córką i jej rodziną. Żyjemy w pięknym miejscu, u podnóża gór, oddychając czystym, leśnym powietrzem.

Pisarka była wdzięczna, że tamta nie koloryzowała, nie starała się ulepszyć własnej wersji siebie dla taniego poklasku. Mówiła prawdę, pokazując także swoje wstydlive i słabe strony.

To będzie dobry materiał – pomyślała z satysfakcją, zamykając notes.

\*\*\*